

Exodus Ślązaków do Niemiec trwał prawie pół wieku. Tyle, co PRL

- Zainteresowanie wyjazdami próbowano wyhamowywać. Wzywano ludzi na rozmowy indywidualne, zwalniano z pracy, degradowano ich na gorsze stanowiska - mówi prof. Ryszard Kaczmarek, historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i Instytutu Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej w Katowicach, autor książki „Czy jestem Niemcem? Przesiedleńcy z Polski do RFN i NRD w latach 1950-1991”, która ukazała się właśnie w Wydawnictwie Literackim w Krakowie.

- We wstępie do liczącej blisko 500 stron książki porządkuje pan profesor zjawiska związane z wyjazdami z Polski do Niemiec. Bo też czym innym były wypędzenia - przed konferencją w Poczdamie, czym innym wysiedlenia po niej. Jeszcze czym innym zaczynające się w latach 50. przesiedlenia, wreszcie późne przesiedlenia w latach 70. i następnych. Chciałbym zacząć naszą rozmowę od lat pięćdziesiątych. A także od zjawiska dla mojego pokolenia trudno zrozumiałego. Więcej ludzi z Polski wyjeżdżało wtedy do NRD, niż do RFN.

- Chciałbym, żeby to na początku naszej rozmowy wybrzmiało. Ta książka w ogóle nie jest o wysiedleniach z lat 40. XX wieku. Opisano je wyłącznie jako wstęp do tego, czym się zajmuję. Pierwszy etap wyjazdów z Polski do Niemiec był możliwy po podpisaniu porozumienia między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną. [Polska](#) podpisała z nią układ zgorzelecki. Z Republiką Federalną Niemiec nie podpisała niczego. Nie miała nawet z tym państwem stosunków dyplomatycznych. Więc jeśli żyjący w Polsce [Niemcy](#) chcieli uzyskać zgodę na przesiedlenie, było ono możliwe wyłącznie do NRD. Proszę pamiętać, że mówimy o latach 1951-54.

- Jacy Niemcy wtedy wyjeżdżali?

- Ci, którzy nie zostali wysiedleni w latach 40., ponieważ byli potrzebni. Najbardziej znanym przykładem byli mieszkańcy Wałbrzycha i okolic. Ale dotyczy to także Pomorza Zachodniego, gdzie pracowali w PGR-ach i górnośląskich kopalń także. Ci ludzie zostali w Polsce wyłącznie dlatego, że byli potrzebni Sowietom w ich bazach, a także polskiej gospodarce. Często były to także osoby niepełnosprawne i nieposiadające polskiego obywatelstwa. Wyjeżdżali za zgodą polskiej administracji. Ale potrzebne były także ustalenia ze stroną niemiecką. Część tych osób, mniejsza, i tak trafiła do Republiki Federalnej Niemiec. Granica między NRD a RFN była dość „luźna”, łatwa do przekroczenia. Rząd zachodnioniemiecki też się w tę akcję włączył i przyjeżdżających wysyłało ostatecznie tam, gdzie była ich rodzina.

- W połowie lat 50. zostaje podpisane porozumienie pod auspicjami Czerwonego Krzyża...

- W pamięci zbiorowej to, co było jego skutkiem, zapisało się jako akcja łączenia rodzin. Porozumienie podpisane między Polskim i Niemieckim Czerwonym Krzyżem uruchomiło falę wyjazdów w drugiej połowie lat 50. W 1959 roku władze PRL-u odtrąbiły koniec łączenia rodzin. W rzeczywistości akcja trwała nadal, ale już nie z takim rozmachem.

- Niektórzy badacze odnosili się do niej krytycznie. Ich zdaniem, była tyleż łączeniem, co dzieleniem rodzin. Bo choćby ze Śląska jedni wyjeżdżali, ale często ich bliscy krewni zostawali.

- Zasada została wypracowana przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. A uchwała miała pomóc łączyć rodziny podzielone nie tylko granicami, ale także w wyniku skomplikowanych losów, nie tylko zresztą w relacjach polsko-niemieckich. Natomiast doszło do sytuacji, której rząd PRL-u nie przewidział. Wyjazdy jednych członków rodzin powodowały, że zgłaszali się kolejni krewni. Choć sama zasada mówiła tylko o najbliższym pokrewieństwie: mąż

- żona, rodzice - dzieci, to w praktyce chęć kolejnych wyjazdów wyrażała coraz większa grupa późniejszych przesiedleńców.

- Po przełomie 1956 roku fala wyjazdowa była bardzo gwałtowana. A przecież już pod koniec lat 40. władze komunistyczne robiły wszystko, by jak najwięcej ludności autochtonicznej zatrzymać. Pozytywną polską weryfikację można było dostać łatwo. Wystarczyło znać pacierz po polsku albo pieśń kościelną. To nie był trudny egzamin. Bo przecież Polska przekonywała, że zajęła tzw. ziemie odzyskane ze względu na potomków Piastów.

- To prawda. Mam wewnętrzne przekonanie, które w trakcie pisania książki narastało, że władze PRL-u z czasem same uwierzyły w propagandową wizję polskich ziem zachodnich. Skutkowało to tym, że nabrały one przekonania, że wystarczy po porozumieniu czerwono krzyżem przesiedlić około stu tysięcy ludzi z całej Polski i sprawa Niemców w Polsce sama się rozwiąże. Tymczasem już w latach 50. XX wieku wyjechało ich prawie dwa razy więcej. Odtrąbiono - choć raczej nieoficjalnie - koniec akcji łączenia rodzin. A w latach 60. okazało się, że kolejne kilkaset tysięcy chętnych znowu czeka na wyjazd. Takie liczby podawał Niemiecki Czerwony Krzyż. W latach 70. sytuacja powtórzyła się. W 80. także. Nie brano pod uwagę racjonalnych powodów wyjazdów. A one były bardzo różnorodne. Ludność rodzima, która miała obywatelstwo niemieckie sprzed 1939 lub sprzed 1945 roku mogła - w myśl prawa zachodniemieckiego - do tego kraju wyjechać i tam zyskać obywatelstwo. Więc nie był to tylko problem niewielkiej grupy Niemców niewysiedlonych w latach 40. XX wieku.

- Koniec lat 60. pamiętam już całkiem nieźle. Temat wyjazdów był na Śląsku bardzo żywo obecny. O wyjazd starali się licznie nasi krewni i znajomi moich rodziców. Ale słowem, które w tym kontekście pojawiało się najczęściej, było słowo Absage - odmowa. Ten, komu odmówiono wyjazdu, zaczynał procedurę starania

się na nowo. Chcących wyjechać spotykały różne uciążliwości, z degradacją lub zwolnieniem z pracy włącznie.

- Jak już wspomniałem, władze w 1959 ogłosiły, że umowa z Czerwonym Krzyżem została wypełniona i w Polsce nie ma już Niemców, zatem nie będzie też dalszych wyjazdów. Na początku lat 60. zapadła nawet uchwała Biura Politycznego KC PZPR w tej sprawie. Zakładano, że mogą pozostać do rozpatrzenia tylko jeszcze pojedyncze przypadki - w skali całego kraju co najwyżej parę tysięcy osób - i te będą rozstrzygane indywidualnie. A tu się okazało, że wyjazdy mające miejsce w końcu lat 50. napędziły kolejną falę wyjazdową. Wnioski napływały znowu masowo.

- Jak reagują władze?

- W Hamburgu, gdzie Niemiecki Czerwony Krzyż zbierał wnioski - przysyłane zarówno z RFN - w imieniu zainteresowanych wyjazdem - jak i Polski, zebrało się tych wniosków kilkadziesiąt tysięcy. W Polsce pragmatyka ich przyjmowania była skrajnie odmienna niż pod koniec lat 50. Były one z definicji odrzucane. Co spowodowało m.in. odtworzenie popularności wyjazdów do NRD. Konsulat NRD we Wrocławiu nawet pomagał w tych wyjazdach, ale i to ostatecznie wyhamowano. Ponieważ w tej grupie uciekali często z Polski specjaliści tak potrzebni także w PRL.

- Rosła liczba niezadowolonych.

- Rosła, ponieważ rosła liczba osób otrzymujących kolejne odmowy. Zainteresowanie wyjazdami próbowano wyhamowywać. Wzywano ludzi na rozmowy indywidualne, zwalniano z pracy, degradowano ich na gorsze stanowiska, zabierano premie itd. Wiele takich barwnych przykładów opisuję w książce. Rekordzista, któremu ostatecznie pozwolono wyjechać w latach 70., składał wniosek 17 razy. Duża część jego dojrzałego życia upłynęła na czekaniu na wyjazd. Odmawiano wyjazdu bez żadnego uzasadnienia. Często nie od razu można było złożyć nowy wniosek. Trzeba było odczekać i

nie było żadnej gwarancji, że się zgodę na wyjazd dostanie. Ani terminów urzędowych na otrzymanie odpowiedzi.

- Składający deklarowali zwykle we wniosku obywatelstwo polskie, ale narodowość niemiecką. To w tamtych czasach wymagało sporo odwagi. I nie było psychologicznie łatwe. Od wojny upłynęło ledwo 20 lat, a niemieckie zbrodnie wojenne były bardzo mocno eksponowane.

- Kwestia narodowości była w PRL tematem tabu od czasu akcji paszportyzacji z lat 50. Mający zamiar wyjechać bali się zaś, że jeśli wpiszą narodowość polską, to może im to w Republice Federalnej Niemiec zamykać drogę do przyznania obywatelstwa niemieckiego.

- Do fali wyjazdów z lat 70., po układzie polsko-niemieckim z roku 1970, a zwłaszcza po rozmowach Gierka z kanclerzem Schmidtem w Helsinkach przyłgnęło powiedzenie: Ludzie za kredyt.

- To brzmi bardzo pejoratywnie, że wyjeżdżających sprzedano za długo przez Polskę oczekiwany Kredyt Jumbo (w wysokości 1 miliarda marek - przyp. red.). Ja tego tak nie nazywam. To porozumienie przez wyjeżdżających było uznawane za sukces. Bo realizowało ich pragnienie wyjazdu.

- W poprzedniej dekadzie atmosfera wokół wyjazdów do Niemiec była fatalna. Lata 70. przynoszą pozytywny ferment. Ludzie otwarcie cieszyli się, kiedy dostawali zgodę. Nie ukrywali, że pakują skrzynie z dobytkiem, który zabierali do Niemiec. Jak reagowały władze?

- Skrzynie były już w latach 60. Ale w następnej dekadzie rzeczywiście nastąpiła jakościowa zmiana. Nie zawsze pamiętamy, że do połowy lat 70. można było wywozić także majątek ruchomy. W książce umieściłem dość egzotyczne opisy wywożenia na Zachód inwentarza - krów, koni. Nawet drobiu z gospodarstw. Zarówno ze Śląska Opolskiego, jak i z Warmii i Mazur. Stosunek do wyjazdów

się zmieniał wraz z kolejnymi dekadami. Także dlatego, że treść porozumienia z 1975 roku między Schmidtem a Gierkiem opublikowano. Protokół, który mówił, że PRL i RFN porozumiały się co do wyjazdu prawie 200 tysięcy osób, wydrukowano. Zazwyczaj bez komentarza - w takich gazetach jak „Trybuna Ludu” i w dziennikach regionalnych. To było przełamanie dotychczasowego tabu. Strona polska przyznawała oficjalnie, że na terytorium PRL mieszkają Niemcy. I ci Niemcy zyskują prawo przesiedlenia się do Republiki Federalnej Niemiec. To był przełom. Bo odtąd tego faktu już się nie dało przemilczeć. Co - żeby była jasność - wcale nie oznaczało uznania mniejszości niemieckiej w Polsce.

- Bardzo często dochodziło przy tym do nadużyć na poziomie polskiej powiatowej. Komendant milicji albo miejscowy ubek pomagał dostać zgodę na wyjazd, ale w zamian za ułamek ceny albo za bezcen nabywał dom czy pole wyjeżdżających.

- Gorąco zachęcam Czytelników do przeczytania rozdziału o wyjazdach z lat 70. Zawarłem tam sporo opisów tego procederu, o którym pan mówi. Ta wiedza pochodzi nie tylko z relacji wyjeżdżających. Te można by uznać za przesadzone. Te przypadki łapówek i innych nadużyć to są także ustalenia Służby Bezpieczeństwa, która ten proceder obserwowała. A niekiedy jej funkcjonariusze brali w nim udział. Wyjeżdżający opuszczali na przykład mieszkania komunalne. I władze mogły nimi dysponować, przyznając je chociażby nauczycielom. Sytuację wyjazdową wykorzystywano także do pozbywania się z PRL-u osób, które uważano z różnych powodów za społecznie uciążliwe.

- W latach 80. wyjazdy tak się nasiliły, że obowiązujące stało się - nie tylko w kabarecie - hasło: Wychodzimy, ostatni gasi światło. Niemców tak bardzo przybyło? Czy przeciwnie, żeby wyjechać do Niemiec, nie trzeba było jednoznacznie deklorować niemieckości? Ludzie po prostu wyjeżdżali z biednego PRL-u do bogatego RFN-u?

- Najwięcej osób wyjechało z Polski w ostatnim pięcioleciu - 1985-1990. Przyczyna była bardzo prosta. Do lat 80., aby wyjechać do Niemiec, trzeba było złożyć wniosek przesiedleńczy i czekało się na jego rozpatrzenie przez władze polskie. Trzeba było mieć także potwierdzenie ze strony zachodnioniemieckiej, że wniosek rozpatrzono pozytywnie. W latach 80. - po stanie wojennym - zaczęto wyjeżdżać zupełnie inaczej. Czynnikiem ekonomicznym odgrywał ogromną rolę. Ludzie decydowali się na wyjazd nie tylko ze względów etnicznych. Uważali, że tutaj nie ma przyszłości. Zmieniły się warunki. Nie trzeba już było składać wniosku i czekać na decyzję władz w nieskończoność. Kto miał [paszport](#), wsiadał do fiata 126p lub do pociągu. I jechał do Niemiec. Zabierano ze sobą papiery potwierdzające pochodzenie, co było zresztą zabronione, więc trzeba je było starannie ukryć. Starania przesiedleńcze podejmowano dopiero po zgłoszeniu się w obozie we Friedlandzie koło Getyngi albo przebywając u rodziny. Równie silna jest wtedy fala migracji azylanckiej. Ludzie z Polski wówczas generalnie wyjeżdżali. Nikt nie przewidywał tak szybkich zmian politycznych i gospodarczych, jakie nastąpiły po 1989 roku.

- W tytule książki pojawia się pytanie: Czy jestem Niemcem? Czy to nie paradoks, że wyjeżdżający w latach 50. i 60, w dużej części i w latach 70. czuli się naprawdę Niemcami (w kolejnej dekadzie chyba już mniej), ale po przybyciu do Republiki Federalnej społecznie nie byli za takich przez „prawdziwych” Niemców uważani. Często patrzono na nich krytycznie i chłodno. Bardziej jako na emigrantów zarobkowych niż etnicznych.

- To prawda. Na tytułowe pytanie, czy jestem Niemcem, odpowiadano różnie w kolejnych dekadach. To była podstawowa motywacja do lat 70. Na pewno przynależność do niemieckiego kręgu kulturowego wielu tych, którzy wyjeżdżali na zachód od schyłku 70., a szczególnie w latach 80., była już bardzo słaba. Znajomość języka często była zerowa. Zostawała przynależność regionalna.

- Sympatię zwykłych ludzi dla Republiki Federalnej skutecznie podsyciała niechętna wszystkiemu, co niemieckie, propaganda. Na RFN mówiło się na Śląsku - na przekór tym wysiłkom państwa - Richtig Fajne Niymcy.

- Też znam to powiedzenie. Mam i takie doświadczenia, że sama decyzja o wyjeździe w latach 80. - nawet jeśli wyjeżdżający słabo znali język i nie mieli w tym momencie więzi z niemieckim kręgiem kulturowym - wywoływała wtedy to dramatyczne pytanie: Czy jestem Niemcem? Ci ludzie decydowali się ostatecznie nie na migrację, ale na przesiedlenie. Mieli więc także świadomość, że muszą się stać Niemcami. Nawet jeśli wyjeżdżali bez znajomości języka, to zakładali, że ich ewentualny sukces zależał będzie od ich akulturacji. To, na ile ich tam akceptowano, to jest zupełnie inna sprawa. O tym też piszę. Dla mnie w odpowiedzi na pytanie, czy jestem Niemcem, najważniejsze było to, że kiedy rozmawiałem z przesiedleńcami po kilku, czasem kilkunastu latach, to niezależnie od ich doświadczeń w Niemczech (czasem bardzo trudnych), wszyscy decyzję o wyjeździe oceniali pozytywnie. Uważali ją za słuszną nie tylko w perspektywie migracyjnej, czyli dla drugiej, trzeciej generacji. Oni uważają ją i dziś za dobrą także dla siebie samych. A dowodem na to jest, iż praktycznie nie wracali do Polski na stałe.

- Proszę mi pozwolić na pytanie łączące trochę historię z gdybologią. Jak wyglądałyby społeczności na Śląsku, na Mazurach itd., gdyby nie te wielotysięczne wyjazdy? Na ile silniejsza byłaby bez nich mniejszość niemiecka w Polsce?

- Problem wyjazdów przesiedleńczych pokazuje, jaki błąd popełniono w Polsce, nie decydując się na uznanie wcześniej - już w latach 50. - tych mniejszości narodowych, które w Polsce były. Kwestię homogeniczności narodowej państwa polskiego uznano za imperatyw, którego nie można przekraczać. Z drugiej strony, nie sędzę, że skoro 1,5 miliona ludzi wyjechało w ramach przesiedleń, to oni wszyscy byliby członkami mniejszości

niemieckiej. Kwestia ich samoidentyfikacji w gronie ludności rodzimej była podsycana między innymi nadzieją na wyjazdy. Nie ukrywajmy, duża część tych wyjazdów była związana nie tylko chęcią znalezienia się w Niemczech, czyli w swojej ojczyźnie. Piszę o tym w książce na podstawie listów i wspomnień, że dla wielu wyjeżdżających tam był po prostu raj i dlatego wyjechali. Potencjał mniejszości niemieckiej absolutnie nie byłby w PRL tak wielki, jak liczba przesiedleńców. Natomiast warto zwrócić uwagę na to, że przesiedleńcy przyczynili się do uznania mniejszości niemieckiej w Polsce.

- Jak pan widzi ten mechanizm?

- Inicjatywa rządu niemieckiego wynikała z przesilenia przesiedleńczego do RFN. Nie tylko przyjazdów z Polski. Także ze Związku Radzieckiego, NRD, Rumunii itd. Ten napływ stawał się dla niemieckiej gospodarki balastem. Wszystko to powodowało, że rząd niemiecki zaczął mocno zabiegać o legalizację mniejszości niemieckiej w Polsce. A Polska po zmianach politycznych była już skłonna - postulat pojawiał się o wiele wcześniej - podpisać stosowne dokumenty. Inicjatywy różnych grup, by zalegalizować mniejszość niemiecką i stworzyć jej organizacje, miały miejsce od lat, ale teraz właśnie - po rozmowach Kohl-Mazowiecki. I po traktacie polsko niemieckim 1991 roku - zakończyły się sukcesem. To był pośrednio także dość nieoczekiwany efekt trwających prawie pół wieku wyjazdów.